

W poszukiwaniu całości i czasu

Niby to żart i niby śmieszny, ale niekoniecznie. Jak się sięgnie głębiej (bez skojarzeń, proszę), to dostrzeże się nagą prawdę – chory człowiek przestał być całością, bo na nią nie ma czasu. Do nefrologa idzie nerka – prawa lub lewa, często obie, w dodatku zapalone, do kardiologa – serce, skołatane i zmęczone, do pulmonologa – płuca, które nie mogą odetchnąć pełną piersią, głowa natomiast może wybierać i iść – do neurologa, gdy pełna zawrotów, lub do psychiatry – gdy kłębią się w niej złe myśli. Skóra, ledwie żywa, zupełnie jakby zdarta była ze św. Bartłomieja, szuka oparcia w dermatologu, a że szkielet też szwankuje, to trzeszcząc, drepcze kość za kością do ortopedy. I wszystko czeka w kolejce na swój czas.

I można tak wymieniać jeszcze inne specjalności i każdemu ze specjalistów zawsze jakaś część ciała w udziale przypadnie. Czasem tylko lekarz POZ – stary, dobry internista lub nowoczesny medyk rodzinny próbuje skleić z tego jakąś ludzką całość. Zwykle jednak wzdycha zrezygnowany, bo zrobić pełne dzieło w kilka minut nie jest w stanie. Wypisuje więc skierowania i wysyła poszczególne części swojego pacjenta do kolegów od serca, płuc itd.

Czy zawsze tak było? Nie!

Pomijając bardzo dawne czasy, gdy lekarz był też kapłanem, szamanem lub innym guru od sił przyrodzonych i nadprzyrodzonych, i wchodząc z szacunkiem w grecką starożytność czasów Hippokratesa*, dostrzegamy w niej piękną całość sztuki lekarskiej. Całość dotyczącą ciała i duszy, powiązaną z tym, co zewnętrzne, czyli otoczeniem społecznym i środowiskiem naturalnym. Całość pojmowaną i badaną dociekliwym rozumem lekarskim. Tak – dociekanie istoty rzeczy i powiązań części, cały czas mając na względzie całość człowieka, to było to! Mając, oczywiście, na to czas.

O tym przymiocie sztuki lekarskiej, czyli dociekliwym i holistycznym podejściu do chorego, pisał filozoficznie Demokryt z Abdery – ten od atomów: „Dociekanie tak w mądrości, jak i w leczeniu uznaję za bratnie i wspólne; mądrość wyzwala duszę od cierpień, a leczenie uwalnia ciało od chorób”.

I tak oto Medycyna, matka nasza karmicielka, ostoja chorych i cierpiących, przez wieki skutecznie opierała się pokusom dzielenia jej ponad miarę na wiele specjalności. Były choroby wewnętrzne – nazywane niejawnymi, których lekarz nie może dostrzec własnym okiem ani usłyszeć własnym uchem i dochodzi do nich na drodze rozumowania. Były choroby zewnętrzne – jawne, które „tkwią w miejscu bardzo łatwym do dostrzeżenia”

i które zwykle leczy się nożem. Była też ginekologia i położnictwo i, a jakże! – dietetyka, jako sztuka leczenia i zapobiegania chorobom poprzez – jakbyśmy dziś nazwali – właściwy styl życia. Były też choroby uleczalne, w których sztuka medyczna ma dość skutecznych metod, by nieść pomoc, i nieuleczalne, którymi lekarz nie miał obowiązku się zajmować. Była też „święta choroba”, która dla Hippokratesa nie była wcale bardziej święta niż inne, a w zasadzie zupełnie nieświęta, ale dziedziczna i dotycząca mózgu.

Jednakże pod koniec Starożytności, gdy z areny sztuk lekarskich odszedł Hippokrates – alfa medycyny i Galen – omega medycyny, ta wpadła najpierw w inne sidła niż specjalistyczne rozdrobnienie. W sidła uproszczenia i powierzchowności.

Świat Cesarstwa zachodniorzymskiego chylił się ku upadkowi. Kruszała państwowość, marniała gospodarka, kultura i nauka nie były w stanie wznieść się na wyżyny, następowało rozprężenie moralne, szerzyła się korupcja, trwały walki między klikami wojsk, a granice rozrywały najazdy barbarzyńców. Także dawne, słynne szkoły medyczne straciły na świetności, a wielu lekarzy hołdowało poglądom Temisona, który medycynę sprowadził do rozróżniania dwóch stanów – tzw. napięcia porów (status strictus) oraz ich osłabienia (status laxus), twierdząc, że nie ma potrzeby ustalania dokładnego rozpoznania, a leczyć można, stosując odpowiednie środki na te dwa stany. Jego uczniowie poszli jeszcze bardziej na skróty i sprowadzili nauczanie medycyny ad absurdum. Pod koniec Antyku wystarczyło zaledwie kilka miesięcy nauki, by zdobyć zawód lekarza. Powód? No cóż, po części merkantylny. Ale jaka oszczędność czasu!

Czyli tego, czego dziś, nam lekarzom, brakuje, by pacjenta poskładać w całość. Pomarzymy przez chwilę. Przychodzi zmęczony lekarz do baby. – Po co pan przyszedł? – pyta z uśmiechem baba. – Jestem już przecież cała i zdrowa.

Lecz kto złośliwy, ten doda – i lekarz odszedł z kwitkiem.

Moi Drodzy, tym felietonem kończę cykl „Medycyna w słowach i obrazach”. Ale nie rozstaję się z Wami. Już od następnego numeru zapraszam na nowy pt. „Medyczne podróże w czasie i przestrzeni”. A więc ruszamy!

Bogumiła Kempieńska-Mirosławska